

Teksty Drugie 1992, 5 , s. 151-156



Pożegnanie Romana Z.

Janusz Sławiński

Pożegnania

Janusz Sławiński

Pożegnanie Romana Z.

Trzynastego kwietnia tego roku, w ciepłe wiosenne popołudnie, gdy żegnaliśmy Romana Zimanda na cmentarzu żydowskim w Warszawie, targnęło mną dotkliwiej niż kiedykolwiek poczucie nieubłaganego z a n i k a n i a środowiska, zawodowego i przyjacielskiego, które od co najmniej trzydziestu lat stanowi moją niszę ekologiczną. Ono przecież w znacznej mierze mnie uformowało, jemu zawdzięczam większość moich umiejętności, zainteresowań i uprzedzeń, w nim byłem zawsze u siebie, a poza nim — co najwyżej z wizytą u znajomych. W miarę niewstrzymanego odchodzenia ludzi, którzy decydowali o klimacie tego środowiska — do ich niepojętych zajęć na tamtym świecie, kurczy się coraz bardziej zauważalnie mój *Lebensraum*: sfera możliwej komunikacji, szanse pobudzeń intelektualnych, pole współzawodnictwa myśli. Ulegam zubożeniu, gdyż zabierają oni ze sobą kawałki mnie samego. Jest mnie jakby mniej niż było przy ich współudziale — i uprzymotnienie sobie tego rodzi wstrząs, ponieważ w istocie jest tożsame z doświadczeniem własnego umierania na raty.

Romana poznałem, jeśli sobie dobrze przypominam, u schyłku 58 roku; można więc powiedzieć, że znałem go od zawsze. Sam ten fakt niewiele zrazu dla mnie znaczył: na początku nie byliśmy sobą specjalnie zaciekawieni. Pracował w IBL-u, którego w owym czasie szczerze nie lubiłem, a to, co go wtedy zajmowało (pracował nad doktoratem o Boyu

Żeleńskim), nie obchodziło mnie w najmniejszym stopniu, podobnie jak jego zapewne nic nie obchodziły moje „formalistyczne” fascynacje. Gdy parę lat później sam znalazłem się w IBL-u, ocieraliśmy się o siebie w różnych sytuacjach typu konferencyjno-seminaryjnego, ale dalej nie miało to poważniejszych konsekwencji dla naszej znajomości. Dostrzegałem w nim przede wszystkim miłego rozmówcę, zabawnego dyskutanta, trochę gadułę–anegdociarza. Poruszał się jakby na marginesie głównego nurtu życia instytucyjowego — nie należał do żadnego z zespołów, które nadawały temu życiu kierunek i styl. Odczuwałem — przybysz wtedy skądinąd — że pozostaje on poza iblowskimi układami, do których go nie dopuszczono, i że nie jest uznawany przez miarodajne w tej instytucji osoby za stuprocentowego iblowca.

Wiedziałem, rzecz prosta, co nieco o jego przediblowskiej przeszłości. W czasach bierutowskich był dobrze znany co najmniej dwóm ośrodkom akademickim — wrocławskiemu i warszawskiemu — jako zaciekle partyjniak, aktywista pepeerowski i pezetpeerowski, zaprowadzający nowe porządki w świecie uniwersyteckim. To mu jeszcze niektórzy do dzisiaj pamiętają. W okolicach 1956 roku przeszedł przez antystalinowski bunt i rewizjonistyczne wtajemniczenia (pracował wtedy w „Po prostu”) — podobnie jak wielu ludzi z tej samej co i on formacji. Ale niewielu z tych wielu potrafiło tak jak on wyciągnąć z pełną determinacją wnioski ze swych dotychczasowych doświadczeń i porzucić na zawsze partię komunistyczną. Taka decyzja miała swoją wagę w 1957 roku. O Zimandzie było wtedy głośno, spotkał się nawet z potępieniem w którymś z przemówień Gomułki.

Oczywiście marginalność jego sytuacji w popaździernikowym IBL-u nie stąd się brała, że miano mu za złe przeszłe błędzenia po stalinowskich bezdrożach. Takich zdeklarowanych „w minionym okresie” stalinistów, którzy potem stanęli po stronie odnowy, było wtedy w naszych sferach aż nadto wielu — i wszyscy oni spoglądali na siebie nawzajem z pełnym zrozumieniem. Mogę sądzić, że rezerwa, z jaką się Zimand spotykał w IBL-u wynikała z tego, że w odrzuceniu stalinizmu poszedł on dalej niż było to wówczas do pomyślenia w takich środowiskach, jak iblowskie — zdominowanych przez siły partyjne. Swoją postawą kwestionował reguły gry, które — jak uważano — są nienaruszalne, okazywał się nieodpowiedzialnym ekstremistą, dawał zły przykład, toteż nie był obdarzany pełnym zaufaniem. Tolerowano go, ale bez specjalnego przekonania.

Muszę przyznać, że właśnie to pozostawanie na uboczu, niejako wbrew naturalnej ruchliwości i chęci brylowania, która go nigdy nie opuszczała, pociągnęło mnie ku Romanowi. W miarę upływu czasu coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że wśród kolegów z tego samego co i on pokolenia i o podobnej genealogii politycznej jest właściwie jedynym, który mentalnie znalazł się nie tylko poza takim czy innym „wypaczeniem” komunizmu, ale w ogóle poza komunizmem. Jego zerwanie miało charakter bezapelacyjny i było pozbawione wszelkich niedomówień, zamąceń czy dwuznaczności. Odnosił się z ironią do krzątania wokół sanacji marksizmu, do prób podtrzymywania słusznych pryncypiów doktryny, do całego tego wysiłku rewizjonistycznego, który przedstawiał się mu jako przedsięwzięcie zniechęcająco jałowe i droga prowadząca do nikąd. Dużo z nim o tych sprawach rozmawiałem (była to połowa lat sześćdziesiątych) i uderzyło mnie, że potrafi bez owijania w bawełnę mówić o niechlubnym fragmencie swojej biografii. Nie szukał samousprawiedliwień: miał świadomość, że pokumał się ze złem, i wymagał od siebie postępowania, które dałoby mu szansę zrehabilitowania się we własnych oczach. Dlatego odrzucał możliwość emigrowania, jaka przed nim nieraz stawała: uważał, że nie byłoby to rozwiązanie honorowe — swoje rachunki chciał regulować na miejscu.

O tym wszystkim można było z Romanem rozprawić w sposób najzupełniej rzeczowy, bez żadnych rozdrażnień czy sztuczności. Był w ogóle wspaniałym rozmówcą: lubił nadawać, ale potrafił też uważnie słuchać, w lot chwycił to, co istotne, zasługiwał więc, by mówić mu rzeczy, które samemu uznaje się za ważne. Dla mnie te ówczesne rozmowy, częste i sprzyjające rodzeniu się zażyłości w naszych stosunkach, były potrzebną lekcją: pomogły mi uporządkować obraz świata społecznego, w którym żyłem; były czymś w rodzaju nie-krótkiego kursu sowietologii stosowanej.

Odkrywając dla siebie Romana jako postać ważną w środowisku, nie byłem w tym odkryciu odosobniony. Odkrywałem go wraz ze swymi rówieśnikami z najmłodszej wtedy warstwy pokoleniowej IBL-u. Nie ulega wątpliwości, że nasze zainteresowanie, moralne wsparcie i sympatia pomagały mu wyjść z marginesowości i przesuwały go ku centrum sceny życia instytucyjowego: okazywało się, że jest na niej potrzebnym i pożądanym partnerem. Umiał fortunnie wygrać swoją sytuację jako ktoś, kto do literaturoznawstwa przybył z zewnątrz (jego pierwotna specjalność to socjologia) i nie musi bezwzględnie przestrzegać reguł i zwyczajów tu obowiązujących. Jego prace, pomysły

i projekty miały charakter interdyscyplinarny: do dociekań nad zjawiskami twórczości pisarskiej wprowadzał pytania, których źródła znajdowały się poza standardową problematyką historycznoliteracką — w jego znawstwie takich dziedzin, jak socjologia, kulturoznawstwo, biografistyka, historia idei, politologia. W pełnych inwencji studiach interpretacyjnych dopracowywał się czegoś w rodzaju metodyki interpretowania faktów pisarskich, obejmującej w równej mierze rzeczywistość tekstów, osobowość pisarza, społeczny i duchowy kontekst jego działań, tradycję i historyczną recepcję dzieła. Ową metodykę określiłem kiedyś w związku z jednym ze szkiców Zimanda mianem historycznej socjopsychologii twórczości. Jej siłą pozostaje antydoktrynerstwo, nie daje bowiem szans metodologicznemu puryzmowi, wyklucza wysiloną wierność jakiemuś jednemu tylko językowi objaśnień; zakłada natomiast kojarzenie różnych perspektyw poznawczych. Łączenie rozmaitych instrumentariów pojęciowych i wielojęzyczność dyskursu badawczego. Nie może więc liczyć na przychyłność umysłów dogmatycznych...

Był wprost naładowany ideami i konceptami. Można by nimi obsłużyć z powodzeniem całą ekipę badaczy. Tego, co wiedział i sądził, nie zwykł trzymać pod korcem; swoje myśli szeroko rozsiewał w otoczeniu, dzielił się nimi z prawdziwym upodobaniem, cieszyło go w sposób widoczny, że kogoś czymś zainspirował, że jego pomysł został kupiony, że się spodobał czy wywołał poruszenie. Bez wątpienia umiał reżyserować pomysły dla siebie sytuacje komunikacyjne — osobiwie kokietować, skłaniać ku sobie, uwodzić... Tkwił w tym jakiś pierwiastek erotyczny. Z drugiej wszakże strony był niesamowicie chłonny: czekał wręcz na impulsy płynące od innych, na pytania, opinie, nowe skojarzenia. Gotów był je natychmiast podejmować i roztrząsać. Jego naturalny żywioł stanowiła dyskusja; żył po prostu z wymiany myśli, czyli słów. Nie spotkałem chyba w swoim życiu człowieka równie dialogowego. Miał przy tym wielką potencję pedagogiczną (w niewielkim tylko stopniu wykorzystaną w formach instytucjonalnych), która ułatwiała mu dobre relacje z ludźmi młodszymi. Potrafił ich przyciągać i rozdawać im role; umiejętnie wzbudzał w nich zaciekawienie swoimi poczynaniami i troszczył się, by pozostawać atrakcyjnym. Lgnęli więc do niego spontanicznie — najpierw z mojego pokolenia (o czym wspomniałem), potem młodszy od nas, i jeszcze młodszy od tych młodszych.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był jedną z najmocniej

świecących gwiazd IBL-u. Brał udział w wielu pracach zespołowych, w nieprzeliczonych konferencjach, sympozjach, dyskusjach, które trudno byłoby sobie bez niego wyobrazić; referował, wykladał, zagajał, podsumowywał. Działal naziemnie i podziemnie. Renomę zyskał jako pierwszej klasy pisarz polityczny — tekstami, które pod pseudonimem Leopolda publikował od połowy lat siedemdziesiątych w wydawnictwach drugoobiegowych i emigracyjnych. Napisał w owym czasie długi szereg poważnych studiów o literaturze młodopolskiej, o pisarzach rosyjskich, o zagadnieniach sowietologii, o kwestii narodowej, o współczesnych twórcach emigracyjnych, przede wszystkim jednak o odmianie twórczości szczególnie mu bliskiej, którą określał mianem „literatury dokumentu osobistego” (tu zwłaszcza dwie książki o dziennikach — Czerniakowa i Żeromskiego, studia o Bobkowskim, Tyrmandzie...). To, co napisał i czym się interesował, było potem podejmowane przez innych, znajdowało odbrzmienia i kontynuacje. Z prac Romana brały swój początek całe nurty problemowe czy tematyczne, które łatwo zaobserwować śledząc publikacje zwłaszcza młodszych badaczy i krytyków z ostatnich lat kilkunastu. Jego aktywność intelektualna była napędzana niecierpliwością: coś inicjował, stawiał problem, odbywał rekonesans, proponował wstępną interpretację, wszczynał grę badawczą — i następnie oddalał się spieszenie w kierunku innych spraw, które tymczasem zaczęły go zaprzętać. Pisarską formą takiej twórczej niecierpliwości jest oczywiście esej — i właśnie ten gatunek został Romanowi przeznaczony do uprawy (surowo wymagał dziwacznej pisowni *essej!*). Trudno sobie wyobrazić formę bardziej naturalnie odpowiadającą jego uzdolnieniom i temperamentowi; wiadomo było, że tak czy inaczej musi poddać się rygorom jej swobody, niezależnie od tego, czy pisze poważną dysertację, czy okolicznościowy artykuł.

W tych jakże płodnych dla niego dziesięcioleciach miałem szczęście blisko współpracować z nim — właściwie nieprzerwanie. Prowadziliśmy razem rozmaite konwersatoria, obmyślaliśmy programy konferencji i książek zbiorowych, oddawaliśmy się zajęciom w Towarzystwie Popierania i Krzewienia Nauk, publikowaliśmy pozacenzuralny „Almanach Humanistyczny”, on pisywał systematycznie do współredagowanej przeze mnie „Kultury Niezależnej”, ja z kolei pomagałem mu w drugoobiegowych pracach wydawniczych, które prowadził z innymi... Było tego wszystkiego aż nadto dużo, tak że nasze codzienności mocno się splotły. Myślę, że moja z nim przyjaźń — a uważałem go za bliskiego

przyjaciela — byłaby w ogóle niemożliwa bez tego paliwa wspólnych działań. U jej podstaw znajdowała się swoista „interesowność”, czynnik pragmatyczny, ale zapewne dlatego była trwała i bezpieczna. Przyjaźnienie się z Romanem odbywało się bez wylewności, dramatycznych porywów uczuć i mdłych serdeczności; cechowała je powściągliwość środków wyrazu i rzeczowość wzajemnych zobowiązań, która postronnemu obserwatorowi mogła się wydawać tożsama z oschłością. Miał silne poczucie własnej autonomii, toteż przy znacznej nawet zażyłości nie przyznawał drugiemu prawa nieskrępowanego dostępu do siebie. Nie dawał jakichkolwiek szans próbom krytycznego wglądu w jego rytuały zachowań, nawyki i upodobania. Nie wprowadzał w realia swego życia osobistego: nie mówił o rodzinie, o kobietach, z którymi coś go łączyło, a nawet o innych przyjaźniach. Rzadko zwierzał się z kłopotów; zaradnie i dzielnie stawiał im czoła, nie czyniąc wokół szumu. Nie zwykł narzucać się z pomocą, ale gdy ta okazywała się potrzebna — potrafił pomagać szybko i efektywnie. Nigdy właściwie nie sprawił mi zawodu: był lojalny i bezwzględnie szczery.

W życie naszego środowiska wnosił pewien lokalny porządek, należał bowiem do gatunku ludzi, wokół których sprawy układają się z sensem. Umiał nie wywoływać konfliktów, ale umiał także wpływać moderująco na konflikty nie wywołane przez siebie, w czym pomagało mu rozwinięte poczucie humoru. Liczono się z jego zdaniem, gdyż wiedziano, że potrafi patrzeć na rzeczy z różnych stron i nie wyciągać pochopnych wniosków. Cenił mechanizmy dogadywania się, czyli kompromisu, ale w kwestiach, które uznawał za zasadnicze stawał się nieustępliwy. Nazwałem go kiedyś relatywistą z zasadami, co chyba mogłoby być bliskie jego własnej autodefinicji. To, czego naprawdę nie cierpiał, to były wszelkie stadne słuszności, bezmyślnie podtrzymywane i powielane przez ludzi zwanych intelektualistami. Uważał za swój najściślej zawodowy obowiązek mieć niezawisłe zdanie w każdej kwestii, której poświęcił czas i uwagę. Tego samego jednak oczekiwał od współzawodników w myśleniu i pisaniu.